

samego w domu nie zostawisz, i gdzie się ruszysz, on z tobą.

— Hm... coś niewygodny z psinką jest, ale ja psy lubię i on przyzwyczaj się do mnie.

— A nie lubi radca kwiatów? — spytał Merczak.

— Co za pytanie!? — wzruszył Szabelski ramionami, — każdy lubi, więc i ja.

— A teraz ja coś powiem! — zawołał z powagą Merczak, — panowie, czym się różni najbardziej człowiek od zwierzęcia?

Panowie zastanawiali się przez chwilę, aż Orszycki nagle zawołał z lekceważeniem:

— Duszał... Jak mnie uczono w katechizmie.

— Tak! Duszał — powtórzył Merczak, — ale to różnica religijna, że tak powiem, wyznaniowa... ale najistotniej różni się człowiek od zwierzęcia ubraniem! Czy które zwierzę lub bydlę ubiera się? Żadne!... To fakt niewzruszony! Ubiór, panowie, to charakter człowieka, przez niego wyłazi i okazuje się dobry ton, smak, inteligencja. Jeśli człowiek chce się zaprezentować godnie, to tylko ubiorem.

— Ee, co tam ubiór, — skrzywił się Blum, — ja zawsze w surducie chodzę, i dobrze.

— Bo surdut maluje charakter prezesa i w tym wieku wystarcza, ale gdy mamy robić tam interes, poznawać się z ludźmi, musimy mieć ubiór sezonowy!... Tylko hołota nie stosuje się do sezonu, ale każdy szanujący się człowiek musi dbać o sezonowe ubranie. Ja nie chcę zarobku, Boże ucho, nie chcę roboty, bo mam jej za dużo, ale pan budowniczy powinien mieć strój godny myślowego. Pan radca Orszycki strój do rybołówstwa. Ja wystąpię jako turysta po górach... zaś pan radca Szabelski... może jako botanik?

— Nie! Nie chcę! Ja będę chodził jak w mieście i w niczym nie zmienię mych przyzwyczajeń, — rzekł z wielką mocą Szabelski.

— Radco! — upomniął go Blum, — to jest puste gadanie, czy w Grotowie pójdziesz do fabryki? do sklepu?

— To będę chodził sobie z Mimusem to tu, to tam, ale nie będę żadnym botanikiem, — odrzekł z gniewem. — Czy z was kto słyszał, ażeby solidny kupiec i przemysłowiec był botanikiem? — kończył z oburzeniem.

— Pokpiłeś sprawę, panie Merczak, — powiedział zjadliwie Winecki, — takie propozycje rób młokosom, wartogłowom, ale nie porządnym i statecznym obywatelom.

— Ależ panowie! — zaczerwienił się Merczak, — to jest jakieś nieporozumienie! Najwięksi panowie, najwyżsi dygnitarze stosują się do sezonu i do sportu! Onegdaj jeden hrabia zamówił strój turystyczny, sam nawet delegat odebrał wczoraj garnitur letni z jedwabiu surowego, to samo nasz prezydent.

— Oni mają na to pieniądze, a nas nie stać, — rzekł twardo Szabelski, — a długów nie chcemy.

— A wie pan radca, co mi powiedział pan hrabia, który zamówił strój turystyczny?

— No, co panie Merczak? — spytał Blum.

— Oto rzekł do mnie, — wyprostował się Merczak i mówił uroczyście: — Każdy szanujący się gentleman powinien być winien swemu krawcowi, tylko hołota niestosująca się do sezonu i mody nie ma długu u krawca.

— A dużo winien panu ten hrabia? — spytał zaciekawiony Orszycki.

— Panie radco, to tajemnica zawodowa, — rzekł z godnością Merczak.

— No, przed nami możesz pan powiedzieć, — zachęcał go Blum.

— Mówię pod sekretem, — zniżył głos Merczak, — winien mi sześćset pięćdziesiąt koron.

— I sądzi pan, że zapłaci?

— Jestem pewny; to klient pierwszej mody, brylant, zna się na modzie, na kroju, na materyale.

— A na cenę? — uśmiechnął się Blum i mrugnął okiem.

— Płaci co się należy, — odrzekł z dumą, — u mnie nie wolno się targować.

— No, ja u pana nie zamówię garnitur, — uśmiechnął się Blum.

— O, dla przyjaciół i znajomych mam inną cenę, i chociaż nie mam czasu, zrobię tanio strój myślowy dla pana budowniczego i garnitur rybołowski dla pana radcy Orszyckiego.

— Wydoły nas żony, nie mamy pieniędzy, — zaśmiał się Orszycki, — szukaj pan młodszych.

— Ja pieniędzy nie żadam, zapłaci radca kiedy zachce... a w takim garniturze byłoby radcy do twarzy, bo i wzrost i figura dobra.

— Nic z tego! — uśmiechnął się Orszycki, — nie chyci, jak mówi Bachmacki.

— Jak się panom podoba, — rzekł z dumną obojętnością Merczak, — ja wierny mym zasadom spełniłem obowiązek.

— O tych ubraniach da się jeszcze pogadać, — wstał Blum, — ale dziś pora spóźniona.

VII.

Orszycki w chwili nastroju filozoficznego wypowiedział, kończąc bombę piwa, zdanie: wszystko ma swój początek i swój koniec, — co towarzysze stołu przyjęli pełnym uznaniem skinieniem głowy. Jeden tylko Merczak, cedząc słówka arystokratycznie, rzekł:

— Daruje pan radca Orszycki, ale ja ze stanowiska politycznego cokolwiek zmieniałbym tę głęboką myśl pana radcy.

— No, no! — uśmiechnął się Blum niedowierzająco.

— No, no! — powtórzył Orszycki zgorszony, — co też pan nowego wymyśli?

— Bardzo przepraszam panów, — zaczął Merczak ze słodkim uśmiechem, — ale ja proponowałbym do tej nader filozoficznej myśli dodać jedno słówko

— Jakie? — spytał Blum surowo.

— Tak jest, jakie? — nachmurzył się Orszycki.

— Otóż dodałbym dla większej dobitności jedno słówko i powiedziałbym: wszystko ma swój początek i prawie wszystko ma swój koniec.

— Ale co pan za bzdury plecie! — zawołał Blum, — naco tu „prawie”? czyż wszystko nie ma końca.

— Daruje pan prezes, ale nie wszystko, — zaprzeczył gorąco Merczak, — to się tylko tak zdaje, jednak ja rozważałem te wielkie sprawy w samotności i nie rozwodząc się długo, spytałem tu obecnych panów, czy kunszt krawiecki może się kiedykolwiek skończyć? Pomijając zmienność naszej narodowej aury, czy wstydlivość społeczna pozwoliłaby wspólnie mężczyznom i damom chodzić nago? Czy krawiectwo tedy jako kunszt samo w sobie może mieć swój koniec? To byłoby przeciwne ekonomii i zdrowotności miast głównych, a nawet mniejszych, — wyprostował się dumnie i ostrożnie przyglądał wypomadowaną fryzurę.

Orszycki wobec tego rozumowania Merczaka był już skłonny odstąpić od swego zadania, jednak z pewną nadzieją obrony spojrzął na innych, i nie zawiódł się, gdyż Blum rzekł drwiąco:

— Panie Merczak, czy nie uczono pana w katechizmie, że przyjdzie koniec świata? A w takim razie, czy nie będzie końca całemu krawiectwu?

— Otóż to! Otóż to! — zawołał ucieszony Orszycki i chcąc się odwdziżyć Blumowi, dodał: — nie zaczynaj pan z prezesem, panie Merczak, bo zginię, — śmiał się głośno.

Merczak uznał się za zwyciężonego, a Orszycki dumny ze swego zwycięstwa powtarzał przy każdej sposobności: wszystko ma swój początek i swój koniec.

Ostatnie dni przed wyjazdem pań do Grotowa były dla żon pełne gorączkowych przygotowań, zaś dla panów ofitowały w rozmaite niespodzianki w rodzaju nieoczekiwanych sprawunków i wydatków, które sprowadzały irytację, brak humoru i pewien pesymizm życiowy, objawiający się obawą o stan kasy. Posiedzenia też przy piwie były nieszczególne i tylko na chwilę odzyskiwały dawną swobodę, a mianowicie, gdy Szabelski produkował cnoty i zalety swego pieska Mimusia, darowanego mu przez żonę, a swego ulubieńca, może dlatego, jak mówił Blum, że Mimuś jedyny z całej rodziny słuchał i szanował pana domu.

Nareszcie jednego wieczora Orszycki, gdy chwilowo umilkł przy stole, wygłosił uroczyście:

— Wszystko ma swój początek i swój koniec, — odechnął, powiódł wzrokiem dokoła i rzekł z uśmiechem: — jutro o dziesiątej rano nasze żony wyjeżdżają.

Umilkł i spojrzął jakie wrażenie zrobią jego słowa. Znaną tę nowinę Szabelski przyjął z westchnieniem i czule poglaskał Mimusia. Winecki nachmurzył się i popił piwa; Merczak chrząknął znacząco, jeden tylko Blum odpowiedział:

— Chwała Bogu, może nastanie spokój i porządek.

— W kieszeniach pustki, to porządek łatwy, — rzekł zgryźliwie Winecki.

— Co tam Jasiu tobie! — westchnął żałośnie Szabelski, — ale ja miałem cały pensjonat na głowie, nie miałem czasu się podrapać.

— Dobrze, że radcy żona nie drapnęła, — zaśmiał się Blum a za nim inni.

Zaczerwienił się Szabelski, poprawił okulary i rzekł z obrażoną miną:

— Gdybym nie szanował pozycji i zasług prezesa, powiedziałbym głupstwo, ale ceniąc zdanie prezesa powiem, że takiemu jak mnie żadna żona nie drapnęła i mam nadzieję że nie drapnie. To prezesowi musiałem powiedzieć i powiedziałem, — odsapnął głośno i popił piwa.

— Ależ kochany radco, to był żart, o! tak sobie, — usprawiedliwiał się prezes, — powiedział radca o drapaniu, a ja o drapnięciu.

— No, tak, — rzekł na pół udobruchany Szabelski, — ale nie o żonie.

— Szanowny radco, — uśmiechnął się Merczak, — literaci nazywają to paradoksem, to taka niewinna zabawa, nic więcej.

— Niech się bawią tak hołysze, ale nie my kupcy i przemysłowcy, — powiedział surowo Szabelski.

— Racya, radco, racya, — łagodził Blum, — a więc to z pensjonatem radco tyle kłopotów... Wierzę, bardzo wierzę, bo pomyśleć o jednej osobie dosyć, a cóż dopiero o tylu? i to w pensjonacie! Ileż to nakryć? talerzów? zastawy?

— Prezesie, te rzeczy to głupstwo jeszcze, obliczy się, kupi i koniec, — mówił żałośnie Szabelski, — ale te inne! — westchnął i po chwili: — powiadam prezesowi, miałem istotny młyn na łbie!

— No! No! I jakie to rzeczy? — spytał Blum ze współczuciem.

— A te fioki! stroje! Rano do śniadania jakiś tam szlafroczek, przy obiedzie inaczej, przy kolacji inaczej... no, i trudno, przecież nie może moja żona występować w pensjonacie jak kucharka! Musi mieć swój honor i ambicję!

— Tak! Tak! — odezwał się nagle Merczak, — i moja żona sprawiła sobie dwie suknie, tylko że nie są gotowe, więc pojedzie później.

— A mieszkanie już ma? — spytał Orszycki.

— Tak jest, — odpowiedział Merczak z tajemniczą miną, — jedno z najpierwszych, bo przecież w byle dziurze mieszkać nie może... Mój dobry znajomy pan notaryusz z Nowego Targu, który u mnie się ubiera, obiecał mi wyszukać odpowiednie dla mojej żony pomieszczenie. Miłe, słoneczne wśród pól i lasów ze względu na moje nadszarpnięte nerwy.

— A pan zawsze ze swymi nerwami, — zaśmiał się Blum, — a tu ważniejsza rzecz, — spojrzal na resztę towarzystwa, — jak wy możecie tak ryzykować?

— My? — zdziwił się Winecki, — a cóż my ryzykujemy?

— Hm... uważajcie tylko... dajecie żonom kupę zapracowanego grosza na mieszkanie, utrzymanie, różne wydatki, to tak, jak gdyby kto dzieciom pozwolił bawić się ogniem. Oszukają je, odra, przepłacą i dopiero przyjdzie rozum po niewczasie. Kobiety trzeba odprowadzić, dopilnować, zgodzić furmanki, mieszkanie, opał, światło, a resztę im zostawić. Co innego bowiem w domu, gdzie mąż doradzi, pomoże, obliczy, a co innego w podróży i to w nowym nieznanym miejscu. Czy nie tak?

W odpowiedzi zwiesili głowy, westchnęli i popili piwo, zaś Blum mówił dalej:

— Nietylko szkoda waszych pieniędzy, ale nawet nie godzi się zostawiać tak kobiety bez opieki. Wiem, że każdy ma ważne sprawy, interesy, ale na jedną dobę można się uwolnić, a nie możecie wszyscy trzej, niechże jeden pojedzie i nie zezwoli na marnowanie waszej pracy.

Wszyscy trzej przyznawali słuszność wywodom Bluma, spojrzeli po sobie i spuścili oczy. Widocznym było, że żaden z nich nie miał ochoty poświęcić się dla drugich i znosić niewygody podróży, wydać pieniądze na koszt i przez kilka godzin, może dłużej przebywać w towarzystwie kobiet.

— Racya jest, — przemówił wreszcie Winecki, — ale kto ma jechać? Ja mam terminową budowę i nie mogę się ruszyć.

— Ja was pogodzę, — zawołał Blum, — wiem, że każdemu z was ciężko się ruszyć, ale pociągnijcie supelki, kto wyciągnie, ten pojedzie jutro z kobietami, a koszt podróży dzieli się na równe trzy części.

Po pewnych zastrzeżeniach, obawach i ceregielach, ostatecznie zgodzili się na ciągnięcie supelki. Blum wyjął chustkę, zrobił supelkę i trzy końce podał trzem żonatym.

Los padł na Szabelskiego. Zrobiło mu się gorąco i zimno na myśl, co powie Natalcia, która mu poleciła kilka spraw do załatwienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).